

JĘZYK NA CZATACH

Waldemar Dras, autor tomu *Czatownik*, jest wrogiem lirycznego gadulstwa. Oczywiście samo „gadulstwo” nie nosi jeszcze piętna oceny pejoratywnej. Ostatecznie cała liryka jest formą zaproszenia do intymnej rozmowy, a spełnienia jej artystycznie wysokie wykazują nieoczekiwaną nośność słowa pozornie nie wytężonego kreatorsko, „nie ambitnego”. Ale Dras — dziecko wieku kondensacji — nawet święconą wodę ma za wodę. I tę ze źródła Hipokrena. Jego fraza przez to nabiera więcej materiału, niż może objąć jej gramatyczna i stylistyczna natura, a że czynność ta jest prowadzona bardziej niż konsekwentnie, bo z honorem i pasją, mamy zator słów nie wolnych od posadzenia o dowolność. Nawet metafora nie będzie brana pod uwagę jako element budulca. Będzie brane coś więcej. „I więcej” — posłużmy się cytatem z „Wielkiej gry I”, jeśli taki wyrwany z tekstu fragment służy czymś ponad formalną przydatność dla dowodowej linii recenzenta.

Zatem co? Zatem próba nowego języka. Ale nie mamy wykładu jego norm. Autor nie daje nam klucza do swojego szyfru. Co znaczy „wiszące uklucie”, „bielizna suką zakłuta”, „przepasany żądłem muzyk”? (Owszem, „muzyk” można potraktować jako dopełniacz liczby mnogiej, co zresztą też nie wyjaśnia, ale... właśnie: można, autor czytelnikowi nieustannie zostawia za dużo możliwości).

Pytając „co znaczy” nie pragnę otrzymać prozatorskiej egzegezy poetyckiego tekstu, ale chcę podkreślić, że zasada ściśnięcia, elisio, wyrzutni „balastu” obejmuje również te obszary dookreślenia, których wyeliminowanie powoduje wielowektorowość odczytań, a poezję Drasa każe przyjąć wyłącznie jako przedmiot dyskusji. Na przykład takiej:

Czytelnik: Uznaję postulat kondensacji. Już proza wyzbywa się przymiotników. Ale w tym tekście nie mam wystarczających danych do określonego, choćby nawet paruznaczeniowego przyjęcia przekazu.

Dras: Nie mogę tego przyjąć za warunek krępujący. Czytelność jest zaletą wiersza, ale nie należy o nią zabiegać, jeśli da się osiągnąć jedynie rezygnacją z tych treści, których nowonarodzona świeżość na razie nie mieści się w praktykowanym systemie językowym. Może zmieści się kiedyś. Przykłady są.

I tu czytelnik by ustąpił, bo powołanie się na „korektorkę wieczną”, nawet awansem, ma swój nobliwy rodowód, ale Stanisław Jerzy Lec ma coś do zauważenia: „Jestem poetą jutra” — powiedział. „Pomówimy o tym pojutrze” — odrzekłem.